

**EDGAR ALLAN**

**POE**

KRÓL DŻUMIEC

Edgar Allan Poe

**Król Dzumiec**

«Public Domain»

## **Poe E.**

Król Dzumiec / E. Poe — «Public Domain»,

Dwaj majtkowie, Udziec i Tarpaulin, oddają się pijaństwu podczas postoju w mieście. W mieście tym przed laty panowała dżuma i niektóre z jego terenów wciąż są zamknięte. Pijani majtkowie, błądząc po mieście, docierają do budynku o złowieszczym wyglądzie. Odważnie przestępują progi budynku, nie lękają się tajemniczych odgłosów i śmiało wchodzi do środka. Okazuje się, że to spichrz przedsiębiorcy pogrzebowego. Udziec i Tapaulin nie są jednak sami w budynku — uciech zażywa w nim pewne specyficzne towarzystwo mocno zdeformowanych osób, dziwnie przypominających trupy... Król Dzumiec to nowela autotrstwa Edgara Allana Poego opublikowana w 1835 roku. Edgar Allan Poe to amerykański pisarz epoki romantyzmu, przedstawiciel nurtu gotyckiego. Uznawany jest za najśłynniejszego twórcę XIX-wiecznej fantastyki i horroru, inspirował kolejne pokolenia autorów, m.in. Stefana Grabińskiego, Gustava Meyrinka, H.P. Lovecrafta.

© Poe E.

© Public Domain

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

8

# Edgar Allan Poe

## Król Dzumiec

*Bogowie znoszą i potwierdzają w królach czyny,  
które są źródłem ich przerażeń, gdy je popełnia motłoch.*

*Buckhurst: Ferrex et Porrex*

W noc październikową, około północy za dostojnego panowania Edwarda III, dwaj majtkowie należący do załogi „Free-and-Easy”, kupieckiego dwumasztowca, który kursował po między Ekluzą (w Belgii) a Tamizą i który w tym czasie zarzucił kotwicę w tej rzece, upajali się swym pobylem w sali pewnej oberży, w parafii św. Andrzeja, w Londynie – która to oberża miała za godło konterfekt<sup>1</sup> – wesołego wilka morskiego.

Sala – mimo lichej budowy, mimo szerniałości od dymu, niskiego pułapu i podobieństwa do wszystkich zresztą karczem onej epoki, w czasach dziwolężnych gromadek rozrzuconych tam i ówdzie opojów, wcale niezgorzej odpowiadała swemu przeznaczeniu.

Wśród owych gromadek dwaj nasi majtkowie tworzyli – najciekawszą, jeśli nie najbardziej godną uwagi.

Ów, co się zdawał pierworodniejszy i towarzysza swego charakterystycznie Udźcem przeżywał, niepomernie też wzrostem owej dwójcy przodował. Miał – bez mała sześć i pół stopy wysokości<sup>2</sup> i nałogowe pochylenie ramion było snadź nieodpartym wynikiem tak niesłychanej postawy. Jego naddatek wżwyż był – bardziej niż zrównoważony innymi skądinąd niedoborami. Był wyjątkowo szczupły – i, zdaniem swych przyjaciół, mógł z powodzeniem zastąpić po pijanemu – wstęgę bandery na wierzchole masztu, zaś na czczo – drzewce trójkątnego żagla. Wszakże te i tym podobne żarty nigdy nie poruszały mięśni śmiechu wilka morskiego. Pomimo wybitnych policzków, olbrzymiego i krogulczego nosa, obciętego podbródka, pomimo wreszcie osunięcia się dolnej żuchwy i wypuklizny przeogromnych, białych oczu – wyraz jego oblicza, aczkolwiek napiętnowanego pewną odmianą mrukliwej dla wszechrzeczy obojętności, był nad wszelki opis i nad wszelkie naśladownictwo – uroczysty i poważny.

Młodszy wiekiem majtek całokształtem zewnętrznego wyglądu zgoła wyodrębnił się i odwzajemniał swemu towarzyszowi.

Dwoje nóg kabłąkowatych i przykucliwych dźwigało jego ciężką i krępą osobę, zaś osobliwie krótkie i grube ręce, zakończone pięściami nieprzeciętnych pomiarów, zwisały, kołysząc się na strony jak łapy żółwia morskiego. Skrzyły się drobne, nieokreślonego koloru, głęboko we łbie osadzone ślepia. Nos znalazł swój stały pochówek w bryle cielska, które oblekało gębę okrągłą, pulchną i czerwoną, a gruba górna warga wygodnie spoczywała na jeszcze grubszej dolnej z wyrazem osobistego zadowolenia, które właściciel obojga zwiększał nałogiem zwilżania swych warg od czasu do czasu jęzorem. Ten, popatrując na swego sąsiada, już to słupiał, już to uśmiechał się szyderczo. I czasem, gdy spojrział mu oko w oko, purpurowiał jak słońce, gdy przed zachodem spogląda ze szczytów skał Ben-Nerisu.

Toć urozmaiconą i przypadków pełną była w pierwszych godzinach nocnych pielgrzymka dostojnej dwójki po oberżach okolicznych. I najsutsze zasoby pieniężne nie przetrwają wieków, toteż do oberży, o której mowa, przyjaciele nasi pokwapili się z pustą kieszenią. Ni mniej, ni więcej, jeno,

---

<sup>1</sup> konterfekt (przestarz.) – obraz. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup> sześć i pół stopy wysokości – ok. dwóch metrów; stopa ang. jest jednostką miary wynoszącą w przeliczeniu 30,48 cm. długości. [przypis redakcyjny]

w chwili gdy się właściwie opowieść nasza zaczyna, Udziec i jego towarzysz Hugh Tarpaulin siedzieli w pośrodku sali i, wsparliszy obydwaj łokcie na obszernym, dębowym stole, ukryli twarze w dłoniach.

Udzielwszy bezpiecznego schroniska zawartości pokażnej butli nie opłaconego zgoła *humming-stuffu*, nie bez zdziwienia i nie bez oburzenia zerkali ukosem na złowieszcze wyrazy „Nic na kredę”, kreślone na ścianie kredą – tą beczelną kredą, która ma śmiałość zaznaczenia swej nieobecności.

Nie dlatego, iżby zdolność czytania kreślonych liter, uchodząca wśród ówczesnego tłumu za nieco mniej kabalistyczną od sztuki onychże kreślenia – mogła być, ściśle biorąc, policzona za winę obydwom wychowańcom morza, lecz, mówiąc po prawdzie, była w kształcie liter jakowaś pokrętność, a w całości rodzaj trudnego do opisanego – wykolejenia, które, zdaniem obydwu marynarzy zapowiadały jakąś przekłątą klęskę i słotę, i wobec których postanowili natychmiast obydwaj – według metaforycznej umowy Udźca – czuwać przy pompach, zwinąć żagle i dybać przed się<sup>3</sup> wbrew wiatrom. A zatem, wysączywszy resztę *ale'u* i gruntownie zapiąwszy swe kubraki, porwali się ostatecznie ku drzwiom. Tarpaulin, co prawda, po dwakroć nawiedził wnętrze kominka, nie odróżniając go od drzwi, lecz koniec końcem ucieczka powiodła się szczęśliwie i w pół godziny po północy nasi bohaterzy paradowali na wietrze, raźnie krocząc poprzez ciemną uliczkę w kierunku schodów Św. Andrzeja, ścigani z zapalem przez oberżystę Wesołego Wilka Morskiego.

Na wiele lat przed i po epoce, w której odbywa się ta opowieść dramatyczna, w całej Anglii, a przede wszystkim w stolicy, rozlegał się okrzyk złowrogi: Dżuma! Stare Miasto było po większej części wyludnione i w tych straszliwych, z Tamizą sąsiadujących dzielnicach, wśród zaułków i przecznic ciemnych, wąskich a brudnych, które Demon Dżumy, jak wówczas przypuszczano, obrał na miejsce swoich narodzin – nie można było nawet kroczyć jak najdumniej, spotkać nic prócz Przerzeń, Lęków i Zabobonów.

Dzielnice owe z rozkazu króla zostały wyklęte i nie wolno było nikomu – pod karą śmierci – przenikać do ich okropnych samotni.

Mimo to – ani dekret monarchy, ani olbrzymie zapory, wznoszone w progach ulic, ani możliwość potwornej śmierci, niemal w okamgnieniu pochłaniającej zuchwalca, którego żadne niebezpieczeństwo nie mogło zniechęcić do przygód – nic nie powściągało dłoni nocnych opryszków od ogałacania pustych i bezludnych domostw z żelastwa, miedzi, ołowiu i wreszcie z wszelkiego rodzaju przedmiotów, które mogły stać się źródłem jakiegokolwiek zysku.

Co zima, przy dorocznym usuwaniu zapór, stwierdzano szczegółowo, że zamki, rygle i skrytki podziemne zbyt niedostatecznie strzegły sutych zapasów wina i likierów, które – wobec trudności i niebezpieczeństw towarzyszących zmianie miejsca – spora część pewnych kupców – posiadaczy sklepów okolicznych pod musiem konieczności na czas wygnania powierzyła tak niedostatecznej poręce.

Wszakże mało kto wśród zdjętego przerażeniem motłochu uważał owe czyny za dzieło rąk ludzkich. Duchy i Gobeliny moru, Demony febry były zdaniem tłumu rzeczywistymi sprawcami klęski i raczono się wzajem a nieustannie mrozącymi krew baśniami o nich, tak iż całe mnóstwo napiętnowanych budynków zgroza na czas długi osnuła na kształt całunu, sam zaś opryszek, częstokroć zmartwiały od zabobonnego a własnymi grabieżami wywołanego strachu, obszerny okręg wyklętej dzielnicy pozostawiał na pastwę – ciemnościom, milczeniom, dżumie i śmierci.

Właśnie u jednej ze straszliwych a wyżej już wspomnianych zapór, która przekleństwem znaczyła przestrzeń poza sobą, Udziec i czcigodny Hugh Tarpaulin, którzy na łeb na szyję wtoczyli się w zaułek, spotkali nagłą swym poskokom przeszkodę. Nie było nawet mowy o odwrocie, a nie było czasu do stracenia – ze względu na tę okoliczność, iż pogoń wisiała im niemal nad karkiem. Dla rdzennych marynarzy wdrapanie się na z gruba ciosaną ścienicę znaczyło tyle, co splunięcie od niechcenia. Podjudzeni dwoistym zagrzewkiem gonitwy i likierów, odważnie przeskoczyli na tamtą

<sup>3</sup> *dybać przed się* – tu: iść naprzód. [przypis redakcyjny]

stronę, po czym, ponawiając swój bieg pijany z dodatkiem krzyków i ryków, zaprzepaścili się wkrótce w onych zawiłych i wyziewnych otchłaniach.

Gdyby nie to, iż byli pijani aż do utraty najniezbędniejszych zmysłów, groza położenia sparaliżowałaby im chwiejne kroki. Chłód i mgła trwały w powietrzu. Na wysokiej i tęgiej murawie, która sięgała im po kostki, bruk wyważony leżał w bezładzie piekielnym. Zwaliska domów zagradzały ulice. Najsmrodliwsze i najśmiertelniejsze wyziewy panoszyły się wszędy – i dzięki owej bladej jaśni, która nawet o północy wysnuwa się zawsze z atmosfery oparnej i dżumnej, można było rozpoznać – poległe w alejach i zaułkach lub gnijące w domostwach bez okien – ścierwo opryszków nocnych, których dłoń dżumy znieruchomiła w chwili spełniania ich czynności.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.